

Z LEKTUR ZAGRANICZNYCH

Ilościowa obfitość i treściowa różnorodność książek, odnoszących się do bibliotekarstwa oraz informacji rośnie w tempie zawrotnym i trudno nadażyć z czytaniem tego, co najważniejsze. Wybór omówień, siłą rzeczy, musi zatem być arbitralny. Zauważyłem jednak, że jest ostatnio szczególnie dużo wypowiedzi o bibliotekarstwie (i czytelnictwie) dziecięco-młodzieżowym, z czego przywołuję tu dwie publikacje.

[1] BIBLIOTEKARSTWO AKADEMICKIE

Ale najpierw o bibliotekach akademickich [Lidman, 2008]. Anglicy i Amerykanie bardzo rzadko wydają książki autorów spoza swojego kręgu, toteż edycja tekstu Lidmana stanowi ewenement. Autor – kolejno: naczelny archiwista Szwecji, dyrektor Biblioteki Narodowej tamże, podsekretarz stanu w resorcie kultury – dokonał przeglądu dawnej, obecnej i przyszłej sytuacji bibliotek akademickich (nazywa je naukowymi). Jego opinie – z nachyleniem skandynawskim – są interesujące [****], ale często woluntarystyczne. Na ogół nie fatygując się po materiał dowodowy, formułuje sugestie, nierzadko trafne, lecz często także wątpliwe i chociaż wszystko to warte jest refleksji, z zaufaniem lepiej nie przesadzać.

Już wstępne stwierdzenie, że na przełomie lat sześćdziesiątych-siedemdziesiątych XX w. biblioteki akademickie z manualnych stały się stechnicyzowane, wymaga uściślenia: gdzie. Skandynawia to nie cały świat! Natomiast jest racja w opinii, że biblioteki nie dały się stłamsić technologii.

Odwrotnie – bez technologii byłoby kiepsko, bo liczba studentów (potencjalnych użytkowników bibliotek) w Europie Zachodniej uległa wtedy podwojeniu. Dlatego zresztą biblioteki akademickie powiązano wówczas z macierzystymi uczelniami znacznie silniej niż przedtem. Zdaniem wielu: zbyt silnie, a nawet obezwładniająco.

Był to też czas (powiada Lidman), kiedy rozpętała się ostra wojna bibliotekarzy z dokumentalistami, którzy nazwali się informatologami. Ale z czasem konflikt wygasł tak dalece, że nawet międzynarodowe stowarzyszenie dokumentalistów przestało istnieć. Czy ktoś to jeszcze pamięta?

W latach osiemdziesiątych XX w. zaczął zmieniać się paradygmat: przeważało nastawienie na użytkownika. Oczywiście! Wszak usługi, za sprawą również elektronizacji, zwiększyły się niemal czterokrotnie. Masę nowych użytkowników trzeba było stosownie przyuczyć, tak więc szeroko wdrożono przysposobienie biblioteczno-informacyjne.

Lidman utyskuje na skostniałą organizację, naśladowującą etapy procesu bibliotecznego (czyli funkcjonalną) i twierdzi, że w końcu wykrystalizowały się dwa strukturalne segmenty: usług i zaplecza – a w USA jeszcze trzeci, mianowicie planowania i analiz. Otóż to jest opinia bez sensu! Nigdzie (także poza bibliotekarstwem) nikt nie odszedł od struktur funkcjonalnych, a takie akurat, dwudzielne zsegmentowanie bibliotek jest znane od... stu lat. Natomiast rzeczywiście mniej więcej w tym czasie pojawiły się w bibliotekach rozwiązania macierzowe, niezależne od głównej struktury i co do tego autor ma rację.

W tym okresie zmieniły się koncepcje kształcenia bibliotekarzy – koniecznie odtąd na poziomie wyższym i wspólnego z dokumentalistami. Widocznym następstwem (nie w Polsce!) stały się rozmnożone badania bibliotek i użytkowników. Oraz właśnie wtedy, zauważa Lidman, nagle uaktywniła się IFLA.

Autor określa lata dziewięćdziesiąte ubiegłego wieku jako dobry i stabilny okres w rozwoju bibliotekarstwa akademickiego, lecz dowodów nie przytacza. Zawsze przeszłość wydaje się lepsza od terażniejszości.

Owszem, pobudowano wtedy sporo nowych bibliotek i to w myśl zasady *flexibility* – możliwej przemienności przestrzeni, lecz zarazem pojawiło się w biblio-

tekach mnóstwo dyrektorów spoza zawodu. Lidman uzasadnia to potrzebą zwiększonych umiejętności menedżerskich; dla mnie to jest skandal i nieszczerść. To wszak zawodowi abnegaci menedżerscy rozpętali akcję szukania *nowych* metod ewaluacyjnych, które miały zastąpić tradycyjną statystykę biblioteczną. Każdy widzi, że to nic nie dało. I to było ich główne osiągnięcie.

W bieżącym stuleciu dramatycznie wzrosły biblioteczne koszty utrzymania, szczególnie zasobów elektronicznych (nawet 25-krotnie!), wobec tego poredukowano środki na zakup piśmiennictwa. Liczba pracowników wzrosła niewiele, a próby outsourcingu, tj. zewnętrznego zlecenia wybranych zadań, nie przyniosły żadnych efektów. Niektóre biblioteki zaczęły więc chyłkiem wprowadzać opłaty za korzystanie (sztucznie podwyższając koszt kart czipowych), ale to jest biblioteczne samobójstwo.

Przyjęto, że wobec tego (bo taniej) trzeba scalać biblioteki, na wielu uczelniach rozproszone, oraz bliżej współpracować z uczelnianymi instytutami, ale to nigdzie nie wygląda dobrze. Zaczęto też tworzyć – w Skandynawii, w Anglii, w USA – centralne (i nawet regionalne) ośrodki koordynacyjne, zajmujące się zwłaszcza usługami informacyjnymi.

Ma to związek z kryzysem funkcjonowania bibliotek narodowych, skupionych głównie na archiwizacji komunikacyjnego dorobku narodowego. Jak zauważa Lidman: to są coraz wyraźniej instytucje, wprawdzie nadal poważane, ale pozbawione uprawnień decyzyjno-organizacyjnych.

W tym kontekście przyszłość bibliotekarstwa (nie tylko) akademickiego klaśnie się mgliście. Wiadomo na pewno, że muszą nastąpić zmiany, ale trudno dookreślić – jakie.

[2] INFORMACJA PRZEDPIŚMIENNICZA

Rosyjski historyk bibliografii, Borys Semenowker, podjął się karkołomnego zadania opisu dziejów informacji. Na razie ukazała się drukiem część pierwsza [Semenowker 2007], poświęcona informacji przedpiśmienniczej. Imponująco udokumentowana [****], stanowi ciekawy przyczynek do refleksji nad społeczeństwem informacyjnym, nie tylko współczesnym.

Autor proponuje, żeby całe dzieje i pradzieje posegmentować nie według dotychczas przyjętych kryteriów, lecz według rozwoju infosfery i dostrzega cztery epoki: werbalną, piśmienniczą, druku i elektroniczną. Początkiem cywilizacji było (jego zdaniem) wprowadzenie pisma. Dla scharakteryzowania losów komunikacji, to może być użyteczne, ale tak znowelizowanej periodyzacji historii powszechnej nikt oczywiście nie zaakceptuje.

Obieg informacji rozpoczął się wprawdzie od wymiany werbalnej, ale dopiero pismo umożliwiło utrwalenie i transmisję pośrednią. Jeżeli jest prawdą, że blisko połowa języków nie ma żadnej pisemnej odpowiedniości, to znaczy że cyrkulacja informacji, nawet elementarnej, daleka jest od powszechności.

W okresie przedpiśmienniczym, w sposób względnie jednolity, rozpowszechniały się treści sakralne. Mity, a tym bardziej podania oraz legendy – zawierające ślady informacji o rzeczywistości – podlegały już większym zmianom narratorskim. Jeszcze większych przeróbek dopuszczano się w kolejnych prezentacjach poematów, ale te miały wyraźnie artystyczny, nieinformacyjny charakter. Tak więc rozpowszechniały się informacje wysoce zwariantyzowane i dopiero zapis zagwarantował niezmienność.

Jednak improwizacja miała swoje granice, przede wszystkim w rejestracji wiedzy stosowanej – dotyczącej leczenia, astronomii, geografii oraz (w mniejszym stopniu) dziejów własnej zbiorowości. Utrwalaniu ewentualnej niezmienności sprzyjały też zapisy wizualne. Z czasem połączone jednak z funkcją estetyczną, tak jak tańce oraz rytuały, gdzie informacja miała już charakter śladowy.

Magazynem informacji archiwizowanej była w okresie przedpiśmienniczym pamięć zbiorowa, często pamięć rodzinna – co wyjaśnia rodzinne ciągłości w uprawianiu wielu zawodów. Formą zaś poprawnej transmisji treści (nie tylko informacyjnych) pomiędzy pokoleniami, była werbalna edukacja, indywidualna i zbiorowa, która w zmodyfikowanej postaci przetrwała do dziś. Tak jak i (istniejący równolegle do zarejestrowanego) werbalny obieg informacji: nieformalnych, a w określonych okolicznościach również – zakazanych.

[3] ARCHIWIZACJA ZASOBÓW DYGITALNYCH

Trafiłem na zbiór opinii [Archives 2006], odnoszących się do problemu archiwizacji materiałów dygitalnych oraz (ale w mniejszym stopniu) ich wykorzystywania. Obok kilku tekstów banalnych, jest tam jednak sporo ciekawych i to według nich trzeba oceniać ten tom[****].

Jak to napisano, materiały dygitalne, zwłaszcza strony WWW, są jak ruchome tarcze: pojawiają się i znikają – bywa, że w kilkusekundowych odstępach. Niełatwo więc zdecydować co, dlaczego i w jaki sposób skierować do archiwizacji oraz do obligatoryjnego wyposażenia w metadane. Jednak mimo przeciwności, powstają repozytoria dygitalne, zarówno indywidualne i lokalne, jak też regionalne oraz krajowe. Powstają również stosowne programy, jak (bliżej scharakteryzowany) program MINERVA.

Tym niemniej kłopoty są i zaczynają się już przy ustalaniu, kto ma decydować o archiwizacji oraz określać wyznaczniki i zasięg dygitalnych kolekcji. Praktycy są zdania, że konieczna jest znacznie większa elastyczność oraz kolegalność decyzji, niż to miało i ma miejsce w odniesieniu do materiałów i zasobów piśmienniczych.

Jeszcze więcej problemów nastęrcza archiwizacyjna praktyka. Materiały dygitalne nie transmitują treści bez technicznego doposażenia, a to jest wysoce zmienne, no i z tego generują się zasadnicze utrudnienia. Poza tym archiwizacja musi gwarantować ochronę przed nieuprawnioną ingerencją w przechowywane zasoby, a to łatwe nie jest. No i pojawia się istotna wątpliwość, co w gruncie rzeczy podlega utrwaleniu, skoro nie zawsze zachowuje się jakiś fizyczny oryginał dokumentu. To tylko część pytań i niepewności, na które należy szukać odpowiedzi i wypracowywać nowe, ewentualnie lepsze sposoby archiwizacji.

Co nie znaczy, żeby żadnych sposobów nie było. Są w tym tomie powiadomienia o stworzeniu wieloinstytucjonalnego archiwum nieformalnych dokumentów, dotyczących dziejów Kalifornii, oraz analiz społecznych w tym stanie. Materiały, wybrane z archiwów, muzeów, bibliotek, zostały zeskanowane, opatrzone metadanymi i złożone na dygitalne archiwum online. Realizatorzy twierdzą, że niezależnie od trudności, rezultat jest obiecujący.

Niejako obok tego głównego nurtu refleksji, zamieszczono w tomie wyniki solidnych badań nad zachowaniami użytkowników informacji elektronicznej. Potwierdziły się inne obserwacje, że mianowicie publiczność oczekuje wszystkiego w jednym miejscu i w jednym formacie, a kiedy tak nie jest, wyraża irytację. Tak jak gdzie indziej, prawie wszyscy zaczynają wyszukiwanie od Googli, lecz tym razem wygląda na to, że to jest wyszukiwarka tylko startowa. Dalszy, zaawansowany etap wyszukiwania, ma często miejsce już w bibliotekach.

Wówczas zaś żądania są wzbogacone. Użytkownicy chcą się dowiedzieć, jakie źródła są preferowane szczególnie oraz oczekują uzasadnienia takiego, a nie innego, rezultatu wyszukiwania, a także pewności, że to jest rezultat najlepszy. Co akurat kłóci się ze znanymi wynikami różnych innych badań, gdzie dominuje satysfakcyjność, to znaczy: wynik nie musi być najlepszy, natomiast powinien być osiągalny szybko. Wszyscy użytkownicy wymagają stosowania zrozumiałych terminów, nazw, ikon i komend. Słabiej przysposobieni preferują proste opcje

wyszukiwawcze, specjaliści natomiast oczekują opcji zaawansowanych. No i zawsze niezbędna okazuje się promocja tego, co biblioteka może zaoferować.

[4] W STRONĘ POKOLEŃ MŁODSZYCH

Wspólnym autorskim wkładem amerykańskich bibliotekarzy i pracowników nauki, powstał gigantycznej objętości i ogromnego formatu tom [*Toward*, 2007], traktujący o bibliotekarstwie szkolnym oraz publicznym dla dzieci i młodzieży, o edukacji, a także o uczestnictwie młodzieży i dzieci w komunikacji piśmienniczej oraz dygitalnej. Jak zwykle w takich składankach, obok tekstów znakomitych, są też nijakie lub marne: redaktorzy byli nadmiernie liberalni. Jednak w sumie jest to publikacja ważna i wysoce użyteczna [****].

Spora część rozważań dotyczy współpracy bibliotekarzy szkolnych z nauczycielami i jest mało produktywna, bo to prawie same ogólniki, slogany i oczywistości. Napisano, że jest to kooperacja niezbędna (a kto wątpi?), że w bibliotece szkolnej trzeba wspierać programy nauczania i że bibliotekami koniecznie powinny opiekować się dyrektorzy szkół. No więc nie są to uwagi odkrywcze.

Także opisane warianty wzajemnych relacji biblioteczno-nauczycielskich, sprowadzone do triady: funkcjonowanie niezależne/okazjonalne działania wspólne / ścisła i planowa współpraca – nie wnoszą do sprawy nic nowego. Jedyna różnica wobec innych, podobnych rozważań, polega na tym, że tu o mierne współdziałanie nie obwinia się wyłącznie nauczycieli.

W niektórych krajach wymaga się od nauczycieli przedmiotów budowy własnych, przedmiotowych właśnie, stron WWW. Liczni autorzy są zdania, że biblioteki szkolne – pomagając w konstrukcji takich stron, redagując je i/lub koordynując wykonawstwo – mogą w ten sposób nawiązać i skutecznie rozwinąć stałe z nauczycielami współdziałanie. I takie też są sugestie.

Natomiast już kategorycznie zaleca się bibliotekom szkolnym wysoką aktywność i staranne nastawienie na swoich uczniów. Strony WWW i bazy danych trzeba tworzyć nie w ogóle, ale dla skonkretyzowanych uczniowskich grup, odpowiednio dobierać też oferty informacyjne i kreować atrakcyjny (dla uczniów) program ponadusługowy. Biblioteki szkolne powinny być otwarte możliwie długo i gwarantować dostępność także na dystans. Oraz jeszcze sugeruje się promocję wszystkiego, co mogłoby kogokolwiek zainteresować.

To są zalecenia praktyczne – z potwierdzeniem realizacji. I chociaż autorzy narzekają na finansowe niedostatki, odnoszę wrażenie, że biblioteki funkcjonują tam na znacznie wyższym poziomie ekonomicznym, aniżeli biblioteki wschodnioeuropejskie.

Obserwacje uczniowskiego użytkowania Internetu – w którym podaż treści jest szczególnie przeładowana i niedostosowana do mentalności młodych odbiorców, a wyszukiwarki tym bardziej oferują byle co – prowadzą do konkluzji, że to właśnie biblioteki szkolne mogą i powinny pomóc w wyborze oraz w indywidualizacji przejmowanych treści. Trzeba jednak zróżnicować biblioteczną ofertę i pośrednictwo co najmniej na trzy poziomy: elementarny, ściśle przylegający do programów nauczania – wzbogacony, dopełniający te programy – oraz rozwinięty, zapewniający swobodny i zindywidualizowany wybór treści. A ponadto potrzebny jest racjonalny program informacyjny przysposobienia uczniów w bibliotece, ponieważ w szkolnym programie edukacyjnym serwuje się wiadomości tylko o technologii elektronicznej.

Zwłaszcza pokolenia najmłodsze, nazywane generacją Z, są nieźle z tą technologią obznajmione, nawiązują też liczne kontakty wirtualne, ale o systemach informacyjnych przeważnie nie mają pojęcia. Preferują odbiór prosty, bezrefleksyjny, ufając naiwnie wyszukiwarkom i zadowolając się byle czym. Rozbudzanie ich odbiorczej samodzielności oraz krytycyzmu jest więc zadaniem szczególnie ważnym, ale niełatwym. Bibliotekarskie ingerencje są akceptowane wyłącznie

wtedy, jeśli są rzeczywiście niezbędne i faktycznie użyteczne; uczniowie aprobują je, kiedy widzą pożytek i wzrost swoich umiejętności. Trzeba zatem postępować z wyczuciem. Oraz być gotowym do pomocy w odpowiednio wydłużonym czasie otwarcia biblioteki, a także na dystans, przez sieć.

Już po ukończeniu szkoły, absolwent powinien samodzielnie radzić sobie w świecie informacji. Trzeba więc, żeby opanował umiejętność poruszania się po Internecie oraz przyjął jako regułę konieczność krytycznego szacowania rozposzechnianych tam treści. Potrzebna jest również zdolność konceptualizacji oraz problematyzacji analizowanych zjawisk – a w tym można pomóc poprzez indywidualne dyskusje z uczniami i stosowne formy pracy w zespołach. Podstawą zaś muszą być tak skonstruowane zasoby własne biblioteki oraz promowane wejścia do sieci, żeby rozbudzały ciekawość i zachęcały do samodzielnej, otwartej refleksji.

Nieoczekiwanie dużo miejsca poświęcono w tomie promocji czytania i przysposobieniu czytelniczemu, zwłaszcza w odniesieniu do literatury pięknej. Liczni autorzy (to jest zresztą opinia dość powszechna) są zdania, że realizowana w szkole *piła lekturowa* nie ma nic wspólnego z nauką czytania rozumnego, lecz przeciwnie: lansuje odbiorczy schematyzm oraz bezmyślność. Doradza się szczególnie przemyślany dobór tekstów literackich do kolekcji, z nastawieniem na refleksyjność, ale również – na rozbudzenie ciekawości.

Jest też zachęta do wykorzystania edukacyjnych programów literackich w Internecie, w USA dość licznych. Zawierają propozycje literackie bardzo urozmaicone. A są w nich pełne teksty literackie, wskazówki odbiorcze oraz jeszcze testy, umożliwiające samoocenę odbioru. Dzięki temu można propozycje lekturowe zindywidualizować, dostosować do poziomu umiejętności i do zaciekawień, a także pomóc w ocenie własnych umiejętności interpretacyjnych. Są opinie, że jest to narzędzie bibliotekom szkolnym bardzo użyteczne.

Kilku autorów zabrało głos w sprawie – rzekomo gorszych – standardów czytelnicznych chłopców, o czym w czasopismach bibliotekarskich pisze się szeroko. Otóż w tym tomie opinie są inne. Mianowicie autorzy uważają, że w bibliotekach ma miejsce marny dobór lektur dla chłopców i kiepskie doradztwo – w tym zawodzie bowiem rzadko pracują mężczyźni. Można wprawdzie wątpić, czy właśnie to jest przyczyną kłopotów, ale coś w ogóle na rzeczy jest, skoro w poważnych badaniach, ponad 40% pytanym chłopców rekomendowane im lub zalecane lektury uznało za nudne.

Jest też – w ogólnej praktyce piśmiennictwa fachowego nieczęsta – refleksja na temat roli biblioteki szkolnej jako swoistego azylu dla uczniów, już to wyobcowanych przez uczniowski otoczenie, lub takich, którzy izolują się sami. Takich osób zawsze trochę jest i albo sami przeżywają dramaty, albo są źródłem dramatów całej społeczności szkolnej.

Kilku autorów (praktyków) twierdzi zgodnie, że objawy wyobcowania łatwiej zauważyć w bibliotece szkolnej, aniżeli w klasie i właśnie w bibliotece prędkiej można je neutralizować, a skutki łagodzić. Jakkolwiek postępowanie bibliotekarzy w takich sytuacjach wymaga szczególnej ostrożności.

[5] W STRONĘ MŁODSZYCH POKOLEŃ

Rosyjski postkonferencyjny zbiór tekstów [*Aktualnyje*, 2007] na ten sam temat, wydał mi się znacznie słabszy [***]. Irytuje już sam układ: absurdalny, bo w obrębie poszczególnych segmentów tematycznych... alfabetyczny – według nazwisk autorów. Ale co istotniejsze, jest tam sporo wypowiedzi żenujących, których te najlepsze nie mogą zneutralizować. Prezentuje się więc wyniki sondaży, realizowanych bez elementarnego pojęcia o metodologii badań oraz lansuje ogólniki i slogany, bądź opinie dziwne, a pozbawione dowodów, no i często z sentymentem wspomina się *dawne dobre czasy*.

Jednak najbardziej zdumiała mnie furia, z jaką liczni autorzy zaatakowali cykl opowieści o Harrym Potterze. To niepojęte! Pojawiło się wszak kilka godziwych powieści, po które młodzi ludzie na całym świecie stali w długich kolejkach. Dla mnie jest to powód (co najmniej) do zadowolenia, tymczasem szereg osób w tym tomie wypowiada się na ten temat z dezaprobatą, a nawet z ostentacyjnym obrzydzeniem. Podobno bohater jest nie w porządku. Należy rozumieć, że Pawka Korczagin był lepszy?

Ale są też w tym tomie dosyć liczne teksty, które uważam za ciekawe i kreatywne. Dalsze uwagi ograniczę więc wyłącznie do nich.

Rosjanie – podobnie jak Amerykanie – zwracają uwagę na czytelniczy kryzys wśród dzieci i wśród młodzieży (ale w tle: teraz już także wśród dorosłych). Bo nie ma rodzinnego przygotowania lekturowego, nie ma efektywnego wsparcia piśmiennictwa w mediach (co do tego zdania są podzielone) i brak stosownych programów naprawczych w skali kraju, nawet jeśli jakieś deklaracje niekiedy padają. Młodzież zdecydowanie mniej czyta książek; lepsze wzięcie mają czasopisma, ale serwujące byle co. To jest głównie lektura klipowa, nieuważna, niestaranna i przeważnie beztreściowa.

Niechęć do czytania ujawnia się zwłaszcza w przedziale wieku 10-16 lat, kiedy następuje uwalnianie się od autorytetów oraz pierwsze usamodzielnienie. To są swoiste *drugie narodziny*. Z kręgu rodzinnego i lokalnego wpada się w globalny świat, chaotyczny i trudny do oswojenia bez lekturowej refleksji.

Bez czytania bowiem (jak napisano) przestaje się myśleć. Ale pojawia się także pytanie, co mianowicie proponować do czytania. Czas literackiej klasyki powoli mija, nawet jeżeli nie w pełni, natomiast bieżąca podaż literatury dla dzieci jest kiepska. W czasach sowieckich szaleństwa cenzury sprawiły, że najzdolniejsi pisarze mogli pisywać jedynie dla dzieci, no więc jednak młode pokolenie miało co czytać. Ale to minęło i oczywiście nikt za cenzurą nie tęskni. Jednak obecnie dla dzieci nierzadko pisują miernoty – ale też za honorarium 200-300 dolarów trudno o teksty mistrzowskie. A rządowego wsparcia wyraźnie brakuje.

Zresztą na rosyjskim rynku książek dla dzieci przeważa produkcja zagraniczna, też na ogół marnej jakości. Chociaż wobec tej opinii byłbym ostrożny, bo wyraźnie zalatuje szowinizmem.

Poza tym książek dla dzieci kupuje się w Rosji mało, ponieważ są drogie. To poważny problem w kraju, gdzie 1/3 społeczeństwa żyje poniżej granicy ubóstwa. Biblioteki również – z tego samego powodu – kupują tych książek niewiele, tak więc obraz sytuacji jest dramatyczny.

Jak wszędzie, wskazuje się palcem na szkołę, jako na ośrodek przygotowania czytelniczego i literackiego, ale szkoła może tyle, ile może. Jest postulat przygotowania do czytania intelektualnego? Jest. Ale uczniowie wolą teksty proste i wykładnie oczywiste. Możliwości przełamania lekturowej inercji są więc ograniczone.

W tym mało budującym pejzażu są jednak również sygnały pozytywne. Otóż także w Rosji zaczyna rozwijać się internetowa promocja literatury dla dzieci i młodzieży: mnożą się informacje, specjalne pliki programowe i pełnotekstowe remediacje – z założeniem, że jest to poszerzenie literackiej oferty drukowanej, a nie zastąpienie. Trzeba jednak pamiętać, że zasięg Internetu nie przekracza w Rosji 10% populacji.

Zatem jest to tym bardziej do wykorzystania w (zelektronizowanych) bibliotekach. Jak cały Internet: to świetne narzędzie, także biblioteczne – byle tylko wiedzieć, jak je w bibliotekach stosować.

Otóż akurat z tym dobrze nie jest. Specjalistów do pracy w bibliotekach dla dzieci kształcą się tylko w Moskwie i w Sankt Petersburgu. Rocznie – raptem 10-20 absolwentów. W tak ogromnym kraju to tyle, co nic.

Mimo wszystko biblioteki mają się różnych sposobów, żeby dzieci do czytania nakłonić. Oto w jednej z podmoskiewskich bibliotek wdrożono wiązkę progra-

mów pracy z dziećmi już od 4 roku życia (Amerykanie zaczynają od 2), a część z nich – także dla rodziców (wspólnych). Jest też współpraca z przedszkolami. A wszystko po to, żeby z czytaniem zaprzyjaźnić się jak najwcześniej. I to ma sens.

Ale o optymizm trudno. Oto bowiem dotychczasowy, scentralizowany (i bardzo zbiurokratyzowany) system biblioteczny ulega decentralizacji i usamorządowieniu. Pierwszy efekt to likwidacja 10% bibliotek, bo lokalne władze nie mają bibliotecznych sentymentów. Skąd my to, znamy?

Rozwiązanie optymalne polega na połączeniu usamorządowania bibliotek publicznych (i szkolnych) z wprowadzeniem centralnej (w dużych krajach: także regionalnej) koordynacji działalności wszystkich rodzajów bibliotek, przez specjalny ośrodek, centrum lub dyrekcję. Tak jest w wielu krajach. Ale to na razie nie u nich oraz nie u nas.

Zatem będzie gorzej – powiada jeden z autorów, akurat nie bibliotekarz, lecz dziennikarz i literat. I wyraża zdziwienie dla *urzędowego* optymizmu, który (z dawnych czasów) uchował się w rosyjskich czasopismach bibliotekarskich.

KSIĄŻKI OMÓWIONE

- [1] Tomas Lidman (2008): *Scientific libraries. Past development and future changes*. Oxford: Chandos Publishing, 123 s. ISBN 978-1-84 334 2687 [****]
- [2] Borys Semenowker (2007): *Ėwolucija informacjonnoj diejatielnsti. Bezpismiennoje obszczestwo*. Moskwa: Paszkow Dom, 144 s. ISBN 978-5-7510-0394-4 [****]
- [3] *Archives and digital library* (2006). Ed. William E. Landis, Robin E. Chandler. Binghamton: The Haworth Information Press, 270 s. ISBN 978-0-7890-3438-0 [****]
- [4] *Toward a 21st-century school library media program* (2007). Lanham: The Scarecrow Press Inc./Hi Willow Research and Publishing, 434 s. ISBN 978-08108-6031-5 [****]
- [5] *Aktualnyje problemy dietskawo i junoszeskawa cztienija i podgotowka bibliotecznych specjalistow* (2007). Moskwa: Moskowski Gosudarstwiennyj Uniwersitet Kultury i Isskustw, 252 s. [brak ISBN] [****]

Jacek Wojciechowski
Instytut Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa
Uniwersytet Jagielloński

Tekst wpłynął do redakcji 20 czerwca 2008 r.